Do trzech razy sztuka

Oddolne działania animacyjne

Andrzej Dybczak

SPRAWOZDANIE
BADAWCZE

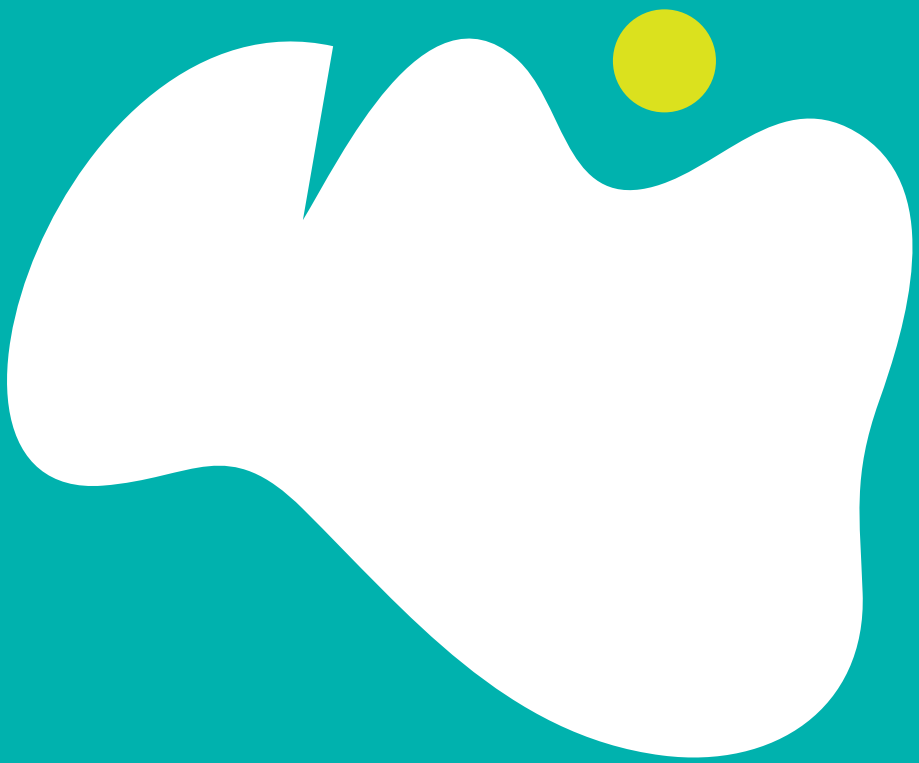

wydawnictwo mik

Spis treści

Wstęp (o badaniu) 3

Początki 10

Instytucje 15

Lokalność 20

Konflikt 24

Bycie sobą 28

Wstęp (o badaniu)

W połowie czerwca 2024 roku wziąłem udział w projekcie badawczym prowadzonym przez dwa MIK-i — Małopolski Instytut Kultury i współpracujący z nim Mazowiecki Instytut Kultury. Tematem zainteresowania wspomnianych instytucji było i właściwie niezmiennie jest, zjawisko animacji kultury i wpływu, jaki tzw. animatorzy kultury mają na rozwój kultury lokalnej w Polsce. A bardziej precyzyjnie: na rozwój lokalny w ogóle, czy też po prostu rozwój. Nie da się przecież oddzielić zjawiska „kultury" od całości otaczającej nas rzeczywistości czy to społecznej, biznesowej i inwestycyjnej, czy wreszcie politycznej. Nie mam śmiałości rozpoczynać niniejszego wywodu od szczegółowego wprowadzania pojęcia kultury, jednego z bardziej wieloznacznych i pojemnych, jakie jako ludzkość wytworzyliśmy. Wystarczy, że założymy rozumienie kultury jako całości dorobku duchowego i materialnego, całości wzorów myślenia i zachowania. Jako centralnego układu sterowania złożonym organizmem nazywanym społeczeństwem, znajdującego się równocześnie na zewnątrz i wewnątrz każdego z nas. Zatem rozwój lokalny, a nawet rozwój w ogóle, nie są możliwe bez rozwoju kultury. Rozwój kultury natomiast możliwy jest jedynie przy równoległym rozwoju lokalnym, jako nierozerwalnie z nim złączony.

W pogłębieniu tezy pomoże nam koncepcja Kultury Żywej, wprowadzona przez Barbarę Fatygę[1]. Przywołuję ją nie z powodu nazwy, ale raczej ze względu na jej przydatność dla wyjaśnienia tła podjętego przeze mnie działania badawczego. Tak więc, w największym skrócie, Żywa Kultura to środowisko życia współczesnego człowieka. Tego z miasta, z małej miejscowości i ze wsi. Żywa kultura jest też niezwykle wielowymiarowa, wieloniszowa i o wielu, ciągle mutujących formach, pozostających w ciągłej relacji ze sobą. „Takie ujęcie wyklucza wąskie, normatywne rozumienie kultury: jako sfery działania instytucji i organizacji, jako sfery ograniczonej do sztuki i obcowania z nią, lub jako oferty instytucji kultury w tzw. czasie wolnym. Żywa kultura to wielowymiarowe środowisko życia jednostek i grup społecznych oraz funkcjonowanie instytucji społecznych, w którym zachodzą dynamiczne procesy i rozwijają się praktyki kulturowe o zróżnicowanych charakterystykach aksjologicznych".

Wrócę na chwilę do początków moich badań terenowych w ramach projektu. Napotkany sąsiad, pytając co słychać, usłyszał, że pracuję nad projektem badającym animatorów kultury. Jego pytanie („Tych, którzy malują dzieciom buźki?") wzbudziło we mnie pewną konsternację, ale po chwili odpowiedziałem stanowczo:

— Tych nie.

Natychmiast oczywiście wewnętrzny głos skarcił mnie za kategoryczność — przecież kultura jest wszystkim, czemu zatem nie malowanymi w trakcie pogodnej imprezy dziecięcymi twarzami? Przedmiotem moich badań chcę uczynić tych, którzy chcą „więcej" i wyrażają tę potrzebę w swoim działaniu, w swoim „byciu" w kulturze. Zatem to nie sam akt malowania twarzy, a jego powód byłby tu istotny — dlatego pomijam fachowców od dziecięcej, komercyjnej rozrywki. Zresztą są tylko przykładem na konfuzję pojęć, „animacja" to przecież nie proste dostarczanie

1 B. Fatyga, *Źródła trudności komunikacyjnych w dyskursie o edukacji kulturalnej i animacji kultury*, w: *Animacja Kultury. Nieantologia*, red. M. Skrzypek, Lublin 2023.

rozrywki. W takim razie kogo badać? Z kim rozmawiać? Zdaje się, że odpowiedź na to pytanie jest jednocześnie najwłaściwszym momentem na usprawiedliwienie się z wyborów ścieżki, jakimi omawiane w tym tekście, niezbyt rozbudowane przedsięwzięcie badawcze (właściwie pierwszy ostrożny krok do badania) podążyło.

Moich rozmówców, o których za chwilę, wybrałem na podstawie kilku przesłanek. Po pierwsze, inspiracją było badanie ilościowe — ankieta, która towarzyszyła projektowi. Na chwilę pisania tego tekstu, z podziwu godną cierpliwością odpowiedziało na nią kilkuset animatorów kultury, w wielu przypadkach zatrudnionych w państwowych instytucjach kultury. Pisząc o cierpliwości, mam na myśli oczywiście fakt, że nie jest to pierwsze badanie skierowane do tej grupy. Nie chodzi mi bynajmniej o to, że owo badanie ankietowe nie było potrzebne — przeciwnie, było i to bardzo. Dowiedzieliśmy się z ankiety wiele na temat uwarunkowań, w jakich funkcjonują pracownicy kultury, m.in. o konieczności ciągłego udowadniania swojej wartości i przydatności, zaspokajaniu oczekiwań lokalnych polityków i niegodnych pensjach. Tych ważnych tematów jest wiele.

Drugą przesłanką, która skłoniła mnie do takiego, a nie innego wyboru rozmówców, był fakt istnienia i dostrzegania tzw. kultury szerokiej i ogólnego zjawiska nazywanego poszerzaniem kultury. Krótko mówiąc, i nie jest to na pewno dla nikogo żadnym odkryciem, w sferze kultury coraz większe znaczenie mają osoby, które nie są bezpośrednio związane z „kulturą instytucjonalną". Owszem, niekiedy nawet regularnie korzystają ze wsparcia państwa (choć nie jest to droga usłana różami), a jednak działają „oddolnie", niezależnie, czasem będąc mentalnymi spadkobiercami Don Kichota, ale częściej stanowiąc rodzaj kreatywnej siły, w obrębie której wytwarzają się i realizują przedsięwzięcia nieobarczone koniecznością kultywowania dominującej wersji kultury. Mając świadomość istnienia tych osób i ich kolosalnej roli, przerastającej niekiedy kontekst lokalny, a równocześnie wiedząc, że nie są objęci systemem zatrudnienia, wsparcia, hierarchii, to właśnie z nimi chciałem porozmawiać. Są grupą

zdecydowanie bardziej różnorodną i przystosowaną do konfrontacji z wyzwaniami, jakie stawia przed nami wszystkimi współczesność niż animatorzy na co dzień pracujący w instytucjach kultury.

Trzecim elementem, który pozwolił mi dokonać wyboru spośród bardzo szerokiej i zróżnicowanej grupy niezrzeszonych czy oddolnych animatorów, był kryzys. Tak, kryzysy bywają niezwykle użyteczne, głównie dlatego, że wymagają odpowiedzi. A to, kto i jak na nie odpowiada, pozwala dokonać choćby bardzo szkicowej typizacji. Spośród wielu kryzysów, z jakimi zmaga się współczesność, na potrzeby badania skupiłem się na tym, co Edwin Bendyk nazwał kryzysem późnej nowoczesności[2] — zespole momentów zwrotnych czy też momentów wyczerpania dotychczasowego sposobu funkcjonowania. Momentów, którym „oddolni", „szerocy", „niezrzeszeni" czy ukryci pod innymi, tysięcznymi przymiotnikami animatorzy kultury są poddawani. To właśnie spośród tych ludzi postanowiłem wybrać kilka osób do naszych rozmów. I to ich doświadczeniu postanowiłem się przyjrzeć w nadziei, że da podstawę do myślenia szerszego, wychodzącego poza te jednostkowe przypadki.

Wspomniany Edwin Bendyk wyróżnia trzy bardziej szczegółowe „kryzysy" emblematyczne dla kryzysu późnej nowoczesności.

1. Kryzys legitymizacji — charakteryzuje się spadkiem znaczenia publicznej kultury, oddalaniem się od potrzeb społecznych, ale także utrwalaniem przez nią różnic społecznych czy *status quo*. Kultura taka bywa koturnowa, krótko mówiąc.
2. Kryzys tożsamości — narastająca konieczność spotkania z innymi kulturami, wywołana globalnymi zjawiskami. Dotyczy to także zmiany optyki patrzenia na nas samych, komplikowanie obrazu, podważanie dotychczasowych prawd. Przykładem tego ostatniego jest w Polsce choćby narastająca świadomość „chłopska" i obserwowany upadek narracji „dworkowej" w dziedzinie historii i kultury.

2 E. Bendyk, *Jak jest? Mapa kultury w Polsce i jej terytoria*, w: tamże.

3. Kryzys wyobraźni — a więc swoiste zabetonowanie systemu i problemy ze stworzeniem alternatywnej wizji rzeczywistości społecznej, która z kolei mogłaby stać się nowym *mainstreamem*. Podejmowane działania są nacechowane brakiem świeżej, alternatywnej wizji w obliczu problematyczności wzorców już utrwalonych.

Zatem osoby, z którymi pragnąłem rozmawiać, powinny być aktywną częścią wyżej wymienionych procesów, tak żeby w ich doświadczeniu mogli też zobaczyć się inni. Inni, którzy także nie są zatrudnieni w instytucjach publicznych, również podejmujący trud pracy ze społecznością lokalną bez unikania tematów bolesnych, niekiedy w pojedynkę, a czasami w stowarzyszeniach. Którzy zmieniają rzeczywistość społeczną lub, mówiąc wprost, ulepszają ją. Wszyscy ci, których wartość jest widoczna jak na dłoni w obliczu kryzysu. I wreszcie ci, którzy swoją najczęściej niezłomną postawą dzielenia się przekonaniami, odpowiadają na jedną z głównych potrzeb społecznych: potrzebę autentyczności.

Pierwszym przystankiem w mojej wyprawie badawczej było Pogórze Dynowskie. I tam właśnie spotkałem się z Panią Barbarą[3], byłą mieszkanką dużego miasta, która po wprowadzeniu się do jednej z miejscowości bardzo szybko musiała zadać sobie pytanie:

„Boże, co tu się dzieje?". Pytanie to skierowało ją ku pracy ze społecznością lokalną, jej tożsamością, przeszłością i przyszłością. Z przykładu Pani Barbary możemy czerpać wiedzę zarówno o potencjale, jak i słabościach działania w pojedynkę.

Z Pogórza Dynowskiego droga poprowadziła mnie nieco na północ. Na Roztocze, prosto do Gorajca, tam, gdzie Marcin Piotrowski i Stowarzyszenie Folkowisko, używając różnych środków (np. festiwalu Folkowisko, działań humanitarnych, edukacyjnych i wielu innych) poddają przemianie naszą tożsamość narodową i kulturową. Równocześnie

3 Imię bohaterki zostało zmienione.

pokazują, jak — zaczynając od samych siebie — stopniowo budować strukturę równoległą do oficjalnej i mającą duży wpływ na rzeczywistość.

Działania Marcina Piotrowskiego, pozornie lokalne, ale skierowane również do szerokiej publiczności, pozwoliły mi na znalezienie prostej drogi do Warszawy, gdzie grupa wizjonerów tworzy i podtrzymuje nowy pomysł na piłkę nożną. Pomysł, nazywający się AKS ZŁY, którego wpływ i ambicje sięgają daleko poza siatkę otaczającą Boisko Piłkarskie DOSiR Praga-Północ, gdzie grają. Czy też „Don Pedro Arenę", jak nazywają je sami zaangażowani.

Rdzeniem badania były indywidualne rozmowy, w żargonie badawczym nazywane pogłębionymi. Rozmawiałem z osobami, których przypadek w ten czy inny sposób jest emblematyczny dla danego zjawiska. Zgodnie z tym założeniem, rozmowy odbyły się w miejscach życia i pracy rozmówców, naturalnym kontekście i polu działania animatorów. To o tyle istotne, że jedną z cech charakterystycznych dla działaczy „niezrzeszonych" jest częste używanie swojego „domu-miejsca" jako kanwy i tworzywa. Jest tak zarówno w przypadku Pani Barbary, Marcina Piotrowskiego, jak i klubu AKS ZŁY. Czynienie miejsca „swoim" bywa trudnym procesem, którego wyniki nie zawsze są jednoznaczne, a jednak ma on ogromny potencjał i wartość dla społeczności. „Wartość" to zresztą słowo-klucz zarówno badania, jak i tego tekstu, którego głównym celem jest mówienie znaczeniu oddolnych działań rozmówców. Dlatego do rozmów z samymi animatorami postanowiłem dodać towarzyszące im głosy osób będących naturalnym kontekstem działań oddolnych — jako kontrapunkt i uzupełnienie obrazu. A więc w przypadku pogórzańskiej wsi wypowiedziała się pracowniczka gminnego domu kultury. W opowieści o Gorajcu usłyszeć można głosy sołtysa, wolontariuszy i uczestników działań Stowarzyszenia, a o AKS ZŁY mówią urzędnik stołecznego ratusza i radny dzielnicy Praga-Północ.

Niniejszy tekst nie jest pracą naukową i nie ma takich ambicji. Służy raczej wyniesieniu jednostkowych przypadków do poziomu otwierających uogólnień i syntezy, przytoczone historie należą bowiem do

tych, w których mogą odnaleźć się również inni członkowie społeczności animatorów, zobaczyć, że nie są sami. Mam nadzieję, że — obok opisu — moje własne wnioski i obserwacje pozwolą zarówno moim rozmówcom, jak i czytelnikom, spojrzeć nieco z boku na omówione sytuacje i będą punktem wyjścia do szerszych wniosków. Tekst został oparty o pięć głównych tematów, które po odsłuchaniu wywiadów arbitralnie uznałem za ważne. Nie przedłużając, zaczynajmy!

Początki

Każda z rozmów musiała zacząć się od pytania o początek, rzadko bowiem, rozmawiając z osobami zatrudnionymi w instytucjach kultury, to pytanie w ogóle pada. W przypadku jednak ludzi „oddolnych" — świadomie używam tego być może nie najzręczniejszego określenia — początek jest zawsze bardzo ważny. Być może dlatego, że działania te są stosunkowo młode. Być może dlatego, że są usytuowane na osi czasu ich własnej, jednostkowej biografii. W przeciwieństwie do instytucji, które były już wcześniej i prawdopodobnie będą, niezależnie od tego, co się z jej pracownikami działo i jeszcze być może stanie. Być może też dlatego, że wszystkie nowe inicjatywy potrzebują fundamentu, aktu założycielskiego. I wreszcie dlatego, że przyglądając się rozmówcom czy to na Pogórzu, Roztoczu, czy Pradze-Północ, uderza, że początek ich działań często zbiegał się z koniecznością odpowiedzi na wyzwania i problemy, wobec których stanęli. Czy samo to nie jest już wskazówką, z jakiej perspektywy powinniśmy patrzeć na ich pracę i rolę, którą pełnią w swoich społecznościach?

MIT ZAŁOŻYCIELSKI

Pani Barbara

To była zimowa noc, niedawno po mojej przeprowadzce. Całkowite odludzie, ponieważ dom, który kupiliśmy, stoi obecnie na uboczu. Kiedyś

mieszkali tu ludzie, ale po wojnie i po wysiedleniu Ukraińców z okolicznych wsi, mieszkańcy wyprowadzili się, zajmując lepsze ziemie nieobecnych sąsiadów. Byłam sama i usłyszałam walenie do drzwi. Przerażona, chociaż strachliwa nie jestem, otworzyłam, a na progu zobaczyłam kobietę w samych kapciach. Na kilkustopniowym mrozie. Uciekła od męża, który ją pobił, i przyszła nie do wsi, tylko do mnie. Po chwili pojawił się również jej mąż, ale powiedziałam mu, że mu łeb rozwalę jak się chociaż do niej zbliży. Wtedy pomyślałam po raz pierwszy „Boże, co tu się dzieje?". Do dzisiaj wiele rzeczy tu mnie szokuje, ale szukam drogi, by myśleć o dobrej przyszłości dla tego miejsca, które pokochałam.

Juliusz Wrzosek

To był mecz Legii Warszawa, której od zawsze byłem kibicem. Na meczu, jak to na meczu — był doping, a ja siedziałem na Żylecie. No i zaczęło się odśpiewywanie PDW — „Pozdrowienia do więzienia". A ja nie śpiewałem. I dostałem za to wpier... Wtedy powiedziałem sobie: „O nie! Mam to gdzieś. Ja tutaj już więcej nie przyjdę". Parę dni później założyliśmy stowarzyszenie i spółkę — niezbędną, by móc zarobić dla klubu na mergu. Wreszcie mogliśmy mieć swoją własną, naszą drużynę, której tacy jak my mogliby kibicować. Drużynę otwartą na wszystkich i zarządzaną demokratycznie przez wszystkich. Wolną od nienawiści. W połowie kobiecą. I w całości tęczową.

Marcin Piotrowski

Po wielu latach pracy w Irlandii szukaliśmy dla siebie domu w Polsce. Przejeżdżaliśmy przez Gorajec, chcieliśmy zobaczyć cerkiew. Okazało się, że obok cerkwi stoi jakiś budynek, zrujnowany trochę. Żyłka odkrywcy poprowadziła mnie przez dziurę w płocie, potem przez okno i nagle słyszę nad sobą głos: „Pan na przetarg?". Zamarłem. Na przetarg? „No jasne, na przetarg" — odpowiedziałem. Okazało się, że budynek to była

szkoła „tysiąclatka", teraz porzucona i niszczejąca. A to był już któryś przetarg na nią, bo nikt jej nie chciał kupić. A my poczuliśmy, że chcemy. Tak się to zaczęło. Potem wzięliśmy ślub, notabene w dniu, który potem stał się dniem pamięci ofiar rzezi wołyńskiej. Zjechali znajomi, zrobiliśmy wesele i to było pierwsze Folkowisko.

Przytoczone powyżej historie, nieco przeze mnie sparafrazowane, oddają dość wiernie odpowiedzi rozmówców na pytanie dotyczące impulsu, który zapoczątkował ich działania. Czemu ten mit jest im potrzebny? Ponieważ muszą odpowiadać na natrętne niejednokrotnie pytanie, podlane wyzwaniem, by usprawiedliwić swoje działania. Ponieważ muszą argumentować swoje istnienie. Ale jest jeszcze jeden powód: potrzeba zbudowania „opowieści", którą można przekazać innym. Która wykracza poza jednostkowe doświadczenie i będzie mogła zostać przyjęta przez innych, dla których także stanie się osobistą, i z którą będą mogli się zidentyfikować. Tak, że głęboko jednostkowe doświadczenie, które dla „oddolnych" animatorów jest ich znakiem rozpoznawczym, zamienia się w doświadczenie grupy, nie tracąc nic ze swojej jednostkowości. A więc także potencjału utożsamienia się z nim. A utożsamienie się z działaniem i uznanie je za swoje to już niebagatelna rzecz. Co ciekawe, zdaje się, że w kulturze instytucjonalnej mechanizm ten działa dokładnie odwrotnie — to z wysokości kultury narodowej i ogólnej próbuje się przekonać do siebie jednostki. Ale uwaga! W dalszym ciągu tego tekstu znajdą się też podwody, dla których także i ta perspektywa wydaje się bezcenna.

Równie ważny jak mit założycielski jest także kontekst wydarzeń. Bardzo często kontekstem dla działania są problemy i potrzeby, które zostały przez animatorów „oddolnych" zauważone czy zdiagnozowane.

Wspomniana przez Panią Barbarę pogórzańska wieś ma tradycję sięgającą setek lat. Jest to m.in. tradycja trwającej od setek lat rozpaczliwej biedy. Zawsze była też rdzennie „polska", w przeciwieństwie do innych w okolicy, zamieszkałych także przez ludność ruską. Była też po wojnie znana z silnych polskich grup zbrojnych. Grupy te mordowały ukraińskich

sąsiadów. Nie, nie tylko mężczyzn posądzanych o przynależność do UPA. Kobiety i nastoletnie dziewczyny, prawie dzieci, także. Podobnie jak grupy ukraińskich sąsiadów mordowały Polaków. Ale to Polacy zostali na miejscu zbrodni, zajęli majątki przegranych i oni musieli z tym żyć, podobnie jak i ich wnuki i prawnuki. W absolutnej ciszy, dotyczącej tych wydarzeń. To tylko jeden z kontekstów funkcjonowania wspomnianej społeczności. „Wtórny analfabetyzm i pijaństwo", jak twierdzi Pani Barbara, to drugi. Wyjazdy za granicę do pracy i faktycznie rozbite, a oficjalnie przykładne, rodziny — także. Pani Barbara jednym tchem wymieniała to, co uznawała za ważne pola do zmiany na lepsze, przestrzeń dla swojej pracy, za którą nie otrzymuje przecież wynagrodzenia.

Juliusz Wrzosek, jeden z założycieli klubu AKS ZŁY, siedząc przy stole swojego pubu „Offside" przy ulicy Wileńskiej na warszawskiej Pradze, zastanowił się przez chwilę, zapytany o kontekst obecności klubu AKS ZŁY. Praga-Północ to dzielnica wielobarwna, jednak owiana czarną legendą zadawnionej przestępczości i problemów socjalnych.

— Przez osiem lat funkcjonowaliśmy na owianej złą legendą, praskiej ulicy Brzeskiej — mówi. — Już samo to świadczy o tym, że umiemy współpracować z lokalną społecznością. Jesteśmy jej częścią. Chociaż wielu nie wierzyło, że dam radę.

Wypada dodać, że to nie AKS ZŁY jest „domyślną" drużyną, której kibicuje większość mieszkańców tej dzielnicy. Jest nią Legia Warszawa. Oczywiście dzieląca oba kluby przepaść ligowa (AKS ZŁY jest w klasie A) pomaga w koegzystencji. A jednak otwarcie głoszone przez „Złego" poglądy kojarzone z lewicą mogą być potencjalnym zalążkiem konfliktu, dlatego bez instynktu samozachowawczego ta koegzystencja nie byłaby możliwa.

Początkom działań animatorów „oddolnych" towarzyszył jeszcze jeden aspekt wart wspomnienia — coś wreszcie zaczęło się dziać, jak stwierdził w naszej rozmowie sołtys wsi Gorajec. Warto wspomnieć, że jego

sołectwo od czasów zakończenia II wojny światowej jest niewielkie — liczy 41 osób.

— Ja sam myślałem, patrząc na Marcina Piotrowskiego, „co ty tu chłopie będziesz robił" — wspomina sołtys.

Taka reakcja — początkowe powątpiewanie i zaskoczenie z powodu aktywności kogoś, kto chce działać w przestrzeni innej niż np. biznesowa, wydaje się powszechna wśród osób stanowiących społeczną bazę działań animatorów. W każdym z trzech przypadków reakcja ta z biegiem czasu przemieniła się w mieszaninę podziwu, szacunku, być może nawet euforii oraz, co też ważne, chęci wzięcia udziału, przyłączenia się. Niestety w przypadku Pani Barbary trzeba wspomnieć, że i ten etap zdaje się mieć ona już za sobą. Dla niej zaszły wydarzenia, o których każdy animator „oddolny" powinien pamiętać dla przestrogi: wzięcie na siebie zbyt dużej odpowiedzialności na zbyt grząskim, finansowym gruncie, a także pozwolenie na posłużenie się sobą do celów politycznych. Tak, do tego animatorzy „oddolni" mogą się przydać lokalnej władzy. W przypadku Pani Barbary było to spełnienie prośby lokalnego urzędnika i podjęcie się na kanwie kryzysu uchodźczego cyklu objazdowych warsztatów dotyczących związków kultur polskiej i ukraińskiej. Coś, czego żaden urzędnik czy pracownik lokalnej kultury, myślący trzeźwo o swojej karierze w lokalnym środowisku społecznym, wolałby nie robić.

W ramach podsumowania początków można pokusić się o wniosek, że w działaniach „oddolnych" animatorów zawsze znajdzie się jakaś forma odpowiedzi na kryzys w procesie przypominającym leczenie. „Są jak lekarze" — wspomniała pracowniczka gminnego domu kultury. I warto wziąć jej słowa na poważnie, myśląc o roli, jaką spełniają animatorzy i edukatorzy kulturowi w tkance gmin, powiatów i największych z największych metropolii.

Instytucje

Zastanawiając się nad doświadczeniem animatorów „oddolnych" nie da się zapomnieć o kulturze tzw. instytucjonalnej, która jest stałym elementem wysiłków administracji państwowej. Nie da się jej pominąć, ponieważ jest stałym kontekstem dla działań osób, z którymi rozmawiałem. By jednak nie powtarzać wniosków z ankiety, spójrzmy na instytucje oczami animatorów „oddolnych". Oczywiście nie bez małej zmiany perspektywy, w czym pomogą nam i ci „instytucjonalni", z którymi udało się porozmawiać.

— Wybrałam się kiedyś na Festiwal Ziem Górskich — mówi A., osoba będąca nie tylko wolontariuszką na festiwalu Folkowisko, ale i producentką jednego z bardzo znanych, warszawskich festiwalów muzyki tradycyjnej. — Tego się nie da opisać, co tam się działo. Półtorej godziny gadali politycy, a ja chciałam posłuchać muzyki góralskiej.

Jaki wniosek płynie z tej krótkiej wypowiedzi? Kultura często pełni funkcję służebną względem partykularnych interesów politycznych. Ma być przede wszystkim trampoliną lub tubą dla bardziej i mniej lokalnych działaczy partyjnych, ma być narzędziem władzy. A więc dla wszystkich polityków lokalnych i samorządowców, być może wątpiących niekiedy w sens dotowania ośrodków kultury, płynie krótki przekaz: Przyjdzie czas! Przyjdzie godzina! Nadejdzie rocznica, jubileusz czy dni miejscowości i ktoś będzie go musiał dla was zrobić, żebyście mogli się na nich poka-

zać i wypromować. A tym, co umacnia zasadność kulturalnej aktywności w danym miejscu, jest frekwencja. Brak zainteresowania ogółu lokalnej społeczności dla wydarzenia oznacza jego zbędność. Idąc tym tokiem rozumowania, dojdziemy do prostego wniosku, że to, co przyciągnie ludzi, da lokalnej władzy publiczność, może istnieć — z tego rozlicza się instytucje kultury. A instytucje kultury mają swoje dodatnie znaczenie, również dla bohaterów niniejszego tekstu.

Animatorzy „oddolni" tacy jak np. Marcin Piotrowski ze stowarzyszenia Folkowisko, są skłonni patrzeć na sposób działania instytucji kulturalnych jako na przestarzały, szablonowy i promujący bierny odbiór kultury, a więc nieangażujący odbiorców w działanie. Wie, co mówi, podwójnie albo i potrójnie. Sam był kiedyś kierownikiem domu kultury, a kierowane przez niego Stowarzyszenie przez lata budowało wspólnotę kilkuset wolontariuszy, zaangażowanych nie tylko w czasie coraz głośniejszego i popularniejszego festiwalu Folkowisko w Gorajcu. Wspólnotę przeszkolonych osób, które, podobnie jak założyciele Stowarzyszenia, utożsamiają się z prowadzonymi przez nie projektami i traktują je jako własne. Niekiedy pomagając też przy innych zaprzyjaźnionych festiwalach.

„Oto jest drużyna, która dziś pokona was
Nie należy do prezesa a każdego z nas
Ooo, ZŁY AKS, klub kibiców, słuchajcie nas"

Przyśpiewka rozbrzmiewająca na Don Pedro Arenie czy, jak kto woli, Boisku Piłkarskim DOISR Praga-Północ, wydaje się wpisywać w zjawisko i marzenie animatorów „oddolnych", polegające na angażowaniu ludzi w tworzenie swojej własnej wizji tego, co powinno się kultywować. Rzadko kiedy jest to kultura oficjalna, której jedną z głównych cech jest jej oficjalność, czyli czynnik utrwalający system.

Pojawia się też natrętna myśl, czy w instytucjach kultury instytucjonalnej w ogóle istnieje potencjał do rozwiązywania prawdziwych problemów. Czy w ogóle istnieje możliwość odpowiedzenia na kryzysy

systemowe (jak np. migracje ze wsi do miasta) przy pomocy immamentnych części tego systemu, którym te instytucje są. Systemu, czy może jakiegoś „modelu życia i funkcjonowania", który te kryzysy stworzył. A więc zcentralizowanego organizmu państwowego nakierowanego mentalnie, ideowo i materialnie na centrum i odgórne układy dystrybucji dóbr i statusów. A co, gdyby oficjalną, instytucjonalną kulturę polikwidować? Gdyby postawić na odpowiednio i inteligentnie finansowane przedsięwzięcia animatorów oddolnych. Bliskich ludziom, partycypacyjnych, demokratycznych.

— Czujemy się jak kula u nogi — powiedziała rozmówczyni, pracownica domu kultury.

Miejmy nadzieję, że do tego nigdy nie dojdzie. Gdyby się tak miało kiedykolwiek stać, wydaje się, że byłby to fatalny pomysł. Przede wszystkim dlatego, że dopóki kultura instytucjonalna istnieje, dopóty otwarty jest wyjątkowy kanał służący komunikacji pomiędzy bytem ideowym, takim jak Państwo czy społeczeństwo, a jego obywatelami. Kanał komunikacyjny, który nie sprowadza się do sumy należności, wpłat, stosunków pracy, nakazów, zakazów oraz konsumpcji. Krótko mówiąc, kanał komunikacyjny spoza porządku biznesu i opresji. Pamiętający, o tym, że wszyscy jesteśmy ludźmi, a ludzie to nie tylko płacący podatki i mandaty kierowcy, sunący po nowych drogach do swoich miejsc pracy. Kanał komunikacji ludzi, a nie partnerów w układzie biznesowo-politycznym.

Ktoś mógłby zapytać „A animatorzy oddolni?". Byliby przecież w takiej rzeczywistości lepiej finansowani i przez to skuteczniejsi. Tak, byliby. Pytanie tylko, czy chcieliby wziąć na siebie obowiązki, które nie są atrakcyjne, które muszą być stałe, wymagać odpowiedzialności i przewidywalnej nudnej stałości. Dobrze wyraził to radny dzielnicy Praga-Północ, mówiąc o swojej odpowiedzialności nie tylko za jeden klub sportowy, któremu chętnie przychyliłby nieba, ale też za cały masyw wszystkich innych boisk, chodników, żłobków i placów zabaw. Nie tak atrakcyjnych i przełomowych, ale wymagających stałej uwagi. Co przez niego prze-

mawiało? Stała, nudna, państwowa, odpowiedzialność. Okazuje się, że każde z tych przymiotników może być komplementem.

Jaka konkluzja? Co sugerują „oddolni" rozmówcy, o czym wspominają ich „instytucjonalni" współobywatele? Nikt nie mówi wprost, ale wydaje się, że tą jedyną z możliwych propozycji, jedynym modelem, jest współpraca i zbudowanie takiego systemu, który pamięta o obu perspektywach. Wydaje się to przeczuwać Marcin Piotrowski, którego przedsięwzięcie, czy może nawet cała ich gama, bo festiwal Folkowisko, Dzień Wolności Chłopskiej, pomoc humanitarna dla Ukrainy, wymiany, praca z dziećmi, szkolenie kadr, wszystko to w jakiś przewrotny i nowy sposób dubluje czy może nawet przetwarza oficjalną, instytucjonalną kulturę. Podczas tegorocznej edycji Folkowiska nieopodal głównej sceny pojawiła się też inna, tzw. Scena tradycji. W przeciwieństwie do przebojowej oferty dostępnej w „Chutorze", na Scenie Tradycji występowały mniej lub bardziej stateczne zespoły regionalne z Polski i Ukrainy. Było to miejsce na tę wersję kultury, która kojarzy się z oficjalnymi dożynkami. Czy jest to znak dojrzałości organizatora? Kiedy to animatorzy „oddolni" wychodzą także poza własne zafiksowane pomysły i swoją własną skórę, dając przestrzeń dla czegoś z gruntu inkluzyjnego i odpowiedzialnego? Folkowisko w ten sposób do lamusa odsyła też nieśmiałe zarzuty, pojawiające się czasem wśród animatorów instytucjonalnych, na temat niepełnej profesjonalności tych „oddolnych". Coś, co w ustach tych pierwszych brzmi jak jeden z ich ostatnich bastionów obronnych.

Jak zauważa w rozmowie Jacek Grunt-Mejer pełnomocnik prezydenta Warszawy do spraw rewitalizacji:

— Rodzaj inercji jest główną cechą instytucji kultury. Nie można mieć im tego za złe, ale trzeba generować impulsy, które nadadzą tej inercji pożądany kierunek. Wtedy organicznie będą się zmieniały i dostosowywały do nowych potrzeb i nowej rzeczywistości.

Przypomina też o tym trochę „teoria" Juliusza Wrzoska o „AKS washingu". A więc wpływie, jaki ten klub wywiera na dość statyczne ideowo

tryby Mazowieckiego i Polskiego Związków Piłki Nożnej. Jak to działa? Po prostu świeże idee AKS ZŁY zaczynają być popularne i rozpoznawalne jako atrakcyjne, a stare sposoby procedowania jako „dziaderstwo".

Kto wie, czy analogicznym zjawiskiem jak Scena Tradycji na Folkowisku, nie jest działanie prospołeczne i humanitarne AKS. W przypadku AKS to działania np. na rzecz osób w kryzysie bezdomności. Wydaje się, że postawa taka jest rodzajem domyślnego ustawienia wśród ruchów oddolnych. A już niekoniecznie wśród skoncentrowanych na sobie i swojej działalności instytucji kultury. Podobnie jak wzięcie pół żartem pół serio przez AKS na sztandary introwertyków. Zauważył to wspomniany urzędnik z warszawskiego ratusza, były aktywista, komentując jeden z transparentów klubu. Transparent głosił: „Introwertycy też tu są".

— To wspaniałe, że zauważyli też tę grupę ludzi i że są na nią otwarci. Mamy nieprawdopodobną epidemię depresji, leków społecznych, zamykania się w domu i braku udziału w akcjach społecznych.

Współpraca między instytucjami kultury a animatorami „oddolnymi" wydaje się najważniejsza. Pytanie tylko na jakich warunkach. Pozwolę sobie tutaj przypomnieć Panią Barbarę, która została poproszona przez Urząd Gminy do przeprowadzanie warsztatów wśród lokalnych społeczności na tematy relacji polsko-ukraińskich w momencie, gdy takie warsztaty wydawały się szczególnie potrzebne, a nikt z „zawodowych" pracowników kultury nie chciał się ich podjąć.

— We wsiach, na spotkaniach traktowano mnie bardzo brutalnie — mówi, nie wdając się w szczegóły. Wystarczy, że obecnie postanowiła wstrzymać swoje aktywności społeczne w regionie do czasu aż sprawa nieco przycichnie. Ona poniosła koszty swojej aktywności, wspomniany Urząd Gminy nie. Co zawiodło? Czy był to brak parasola bezpieczeństwa nad edukatorką, lekceważenie problemu przez zleceniodawcę czy może fakt, że działaczka była spoza społeczności, wśród słuchaczy nie było więc woli, by się z nią porozumieć? Być może wszystko naraz.

Lokalność

Lokalność w ustach moich rozmówców wybrzmiewała niemal za każdym razem w kontekście przybywania „skądś". Pani Barbara postanowiła spędzić emeryturę na wsi, mimo że swoje bardzo aktywne życie zawodowe i społeczne prowadziła w dużym mieście. Marcin Piotrowski (odnoszę się do niego jako personifikacji Stowarzyszenia Folkowisko, chociaż nie jedynej) także w Gorajcu się „zjawił" mając za sobą doświadczenie lat emigracji w Irlandii. A Juliusz Wrzosek i cała ekipa AKS ZŁY? Jeśli lokalnością miałaby być tutaj Praga-Północ, to także są przybyszami z innych dzielnic. Przybysze przybywają zatem i zastają już zarówno mieszkańców, miejsca i piony kultury, czasami także wcześniejsze działania „oddolne". Skupmy się jednak na funkcjonujące przed ich przybyciem formy kultywowania kultury. Są najczęściej związane z jej oficjalną wersją, w zależności od miejsca działającą prężnie, na luzie lub w ogóle nie działającą. Rozgrywki w klasach Mazowieckiego Związku Piłki Nożnej toczyły się już niezliczoną ilość sezonów i bez klubu alternatywnego, gmina Cieszanów, do której przynależy Gorajec, także nie próżnowała organizując m.in. festiwal rockowy, dożynki i szereg zwyczajowych aktywności. Może jedynie dom kultury we wspomnianej wsi, polu działania Pani Barbary, przebywał w stanie organizacyjnego uśpienia. Wydaje się, że wszystkie wspomniane miejsca łączy wspólnota ogólnej wersji tego, jak powinna wyglądać działalność „kulturalna" i ma to związek z czymś, co można by nazwać stabilnym przekazem płynącym od „centrum", podpartym utrwaloną

przyzwyczajeniem ofertą. Czy w takim wypadku, jeśli system jest centralny, lokalność takich rozwiązań nie jest pozorna?

Animator „oddolny" najczęściej wszystko zaczyna od nowa i na nowo wszystko stara się wymyślić. Wydaje się, że to zawsze daje szansę na nowe otwarcie. Szczególnie potrzebne, bo, jak podkreślali rozmówcy i z pewnością wielu innych by się z tym zgodziło, splot powiązań pomiędzy władzą i samorządem a organizacjami i instytucjami kultury jest ścisły. Zwłaszcza w małych ośrodkach, ale nie miejmy złudzeń — w stolicy także. Czy coś w tym złego? Lokalne władze, lokalni działacze i animatorzy. Pełna lokalność.

Właśnie. Niebezpieczeństwo kryje się w zabetonowaniu idei. Kierowniczka gminnego ośrodka kultury może być rodziną wójta i forsować coroczne imprezy z udziałem zespołów popularnych, a niemających nic wspólnego z lokalnością albo tylko odliczać dni do emerytury i nie podejmować żadnej aktywności. Możliwe jest również, że zwyczajem pań z Koła z Gospodyń Wiejskich jest urozmaicanie spotkań nalewką własnej produkcji. Co dzieje się, gdy w takie środowisko wkroczy nowy, „zajechany" oddolny animator i postawi weto?

Nowe idee nigdy nie przyjmowały się łatwo, a nawet jeśli już, nie zawsze na długo. W każdym razie to one są znakiem rozpoznawczym „oddolnych".

— Dla mnie piłka nożna to tylko pretekst — mówi Juliusz Wrzosek. To żadna nowość, futbol nigdy nie był niczym innym jak pretekstem do kanalizacji społecznych frustracji, tworzenia karier, zarabiania na kontraktach reklamowych, legendarnych machlojek elit piłkarskich. Ale jak do tej pory nigdy (w skali warszawskiej oczywiście) nie był pretekstem do walki o lepszy, bardziej otwarty, tolerancyjny świat. Tęczowe flagi powiewające nad trybuną, transparenty z „introwertykami", że też przyszli i przyśpiewki wyrażające szacunek dla przeciwników. Coś nowego.

Jaka jest motywacja animatorów? Sołtys Gorajca mówi, że Piotrowski zakochał się w Gorajcu. Co ciekawe, Pani Barbara też wspominała, że chciałaby opublikować książkę o „miłości" do swojej nowej małej ojczy-

zny. Nie ma pewności jakiego rodzaju uczucia dominują wśród działaczy AKS, ale wspomniany Juliusz Wrzosek wyłożył sprawę jasno:

— Mogą nas wyzywać od pe…ów, mogą nas nawet nie rozumieć, ale my będziemy ich kochać tak długo, aż oni pokochają nas.

I coś w tym jest. Być może świat już kocha AKS ZŁY, patrząc na wspomniane wcześniej zjawisko „zływashingu", na filmy dokumentalne powstające o tym projekcie, wywiady i rozgłos z nim związany. W przypadku AKS obecny jest także bohater zbiorowy, a więc wspierająca społeczność nowych mieszkańców Pragi-Północ, artystów czy ludzi przyciągniętych oryginalnym i barwnym rytem tożsamościowym tego miejsca. No i świetną lokalizacją w stosunku do centrum stolicy.

Czy można wysnuć roboczy wniosek, że „oddolni" działacze kierują się głównie uczuciami? Dość ryzykowne. Na pewno uznają za stosowne je uzewnętrznić i nazwać. Jakby nie było innego wyjścia i sposobu na uwiarygodnienie swoich intencji.

— Uważam, że ożywiliśmy wieś — mówi Marcin Piotrowski.

Trudno nie przyznać mu racji, biorąc pod uwagę, że Gorajec liczy 41 stałych mieszkańców, podczas gdy na firmowany przez Stowarzyszenie Folkowisko festiwalu pojawia się co roku mniej więcej około tysiąca gości. Sołtys Gorajca zgadza się z nim w pełni. Ale zauważa jeszcze coś.

— Wcześniej z Gorajca wszyscy chcieli wyjechać. A teraz zdarza się, że się wprowadzają. Przyjechał profesor z Krakowa. Warsztat samochodowy się założył. Obok Chutoru (siedziba Stowarzyszenia) otworzyło się chaczapuri.

Jedna z wolontariuszek, mieszkająca w sąsiedniej wsi, mówi wprost:

— Gdyby nie praca dla Stowarzyszenia nie wiem, gdzie bym teraz była. Może w Warszawie, może za granicą. A teraz wiem, że mogę znaleźć dla siebie miejsce tutaj, na wsi. Wcześniej byłoby to po prostu nie do pomyślenia.

Dla tak małej społeczności jedna młoda osoba to dużo. Niniejszy tekst nie został opłacony przez zainteresowane stowarzyszenie, ale trud-

no o lepszą laurkę dla jego działalności. Zresztą działalności o wiele bardziej rozbudowanej niż działania wokół samego festiwalu muzycznego.

— Cerkiew — wylicza sołtys. — Dzięki Folkowisku pojawiają się tu ludzie, którzy autentycznie posunęli do przodu sprawę jej konserwacji.

— I jeszcze coś — dodaje — że to nie jest żaden jazz, tylko folk.

Tutaj pan sołtys wyraził nadzieję na połączenie gustów ludności miejscowej i osób stanowiących trzon publiczności, a więc przyjezdnych mieszkańców dużych miast. Otwarta na festiwalu „Scena tradycji", o której już wspominałem, jest próbą włączenia ludności miejscowej do wydarzenia. Ale czy tak naprawdę tutaj leży istota sprawy? W pójściu na koncert? Wydaje się, że nie. Bo publiczność, jaka by nie była, wyjedzie, i festiwal, jaki by nie był, skończy się po kilku dniach. Przez cały rok zostaje zaraźliwe poczucie sprawczości. Poczucie wspólnoty, dumy, którą rozmawiający ze mną sołtys maskował lekką nonszalancją. Nie zapominając oczywiście o stałej, permanentnej obecności stowarzyszenia w Gorajcu. O niezmiennej obecności AKS na Pradze i Pani Barbary na „jej" nowym terenie.

Radny dzielnicy Praga-Północ wymienił trzy największe korzyści z obecności AKS na tamtym terenie: promocję dzielnicy, pracę z dziećmi i otwartość na wszystkich jej mieszkańców. Pełnomocnik stołecznego ratusza do spraw rewitalizacji do powyższej listy dodaje jeszcze umiejętność inspirowania. A także walkę z odpływem z dzielnicy Praga-Północ wartościowych osób, dzieci i działań. Nawet jeśli na Pradze się mieszka, to już po wartościową szkołę, zajęcia pozalekcyjne, działania rozwijające, wyjeżdża się do lepszych dzielnic. Czy nie przypomina to jednego z głównych problemów polskiej prowincji? Wydaje się, że tutaj działania AKS ZŁY i innych „oddolnych" animatorów mają wspólny mianownik: ci, co przyjechali lub przybyli, zatrzymują innych.

Konflikt

Gospodarzem dzielnicy Praga-Północ, przynajmniej tej jej części związanej z kibicowaniem i identyfikacją zespołową, jest warszawska Legia. Zresztą jest to jedna z dzielnic, w których trudno o tym zapomnieć za sprawą wszechobecnego graffiti z literą L. Klub, który chciałby wprost podważyć ten stan rzeczy, miałby niezbyt długi żywot. Czy dlatego, pomimo zaangażowania w wiele aktywności czysto „praskich", AKS nie był szczególnie aktywny w walce z kibolskimi napisami szpecącymi budynki? Taki gest mógłby zostać odczytany jako konfrontacja. Filozofia AKS ZŁY jest jawnie inna. Działanie poprzez przykład, pozytywną afirmację i otwartość.

— To nie jest drużyna, która dzieli — wspomina radny, od niedawna na urzędzie, od dawna aktywista lokalny.

— A jednak — w innej rozmowie podkreśla Jacek Grunt-Mejer, wspomniany pełnomocnik do spraw rewitalizacji — to właśnie ta otwartość i tolerancja AKS powoduje, że klub zaczyna być utożsamiany z lewicą, z LGBT, z czymś antypolskim dla narodowców itd. Ale utożsamiany jakby z inklinacji tej drugiej strony, do szufladkowania i utrzymywania podziałów. Trudno dopatrywać się tu winy samego AKS ZŁY.

Zupełnie, chciałoby się dodać, jakby rzeczywistość społeczną, przynajmniej na naszym podwórku, zawsze trawił i definiował jakiegoś rodzaju konflikt. Czy to drużynowy, narodowościowy, tożsamościowy, religijny, a nawet, jak w przypadku wsi, w której działa Pani Barbara, we-

wnątrzwiejski, gdzie jedna część miejscowości bezpardonowo zwalcza drugą i myśli o secesji.

Nie wydaje się, żeby kultura instytucjonalna wchodziła w jakiekolwiek konflikty albo zajmowała równie zdecydowane stanowisko w sprawach potencjalnie problematycznych jak „oddolni" animatorzy. Dlaczego tak się dzieje? Czy chodzi o szukanie dziury w całym, awanturnictwo, o co? Dlaczego animator — przybysz, natychmiast po postawieniu nogi na najczęściej nowym dla siebie terytorium, staje się powiernikiem któregoś z konfliktów trawiących społeczność?

— Nas nazywają lewakami — mówi Juliusz Wrzosek — a czasami wyzywają i od peda…

— My jesteśmy dla okolicznych mieszkańców Ukraińcami — mówi Marcin Piotrowski.

— Ja muszę na pewien czas zniknąć, przygasić działalność, za dużo niedobrej energii wyniknęło — mówi pani Barbara.

Jedno można powiedzieć na pewno i z całą odpowiedzialnością. Ignorowanie konfliktów czy przechodzenie ponad nimi jest o wiele bardziej estetyczne. A jednak naturalna skłonność, czy może po prostu skłonność animatorów pokroju moich rozmówców, do „pakowania" się w nie, podejmowania z nimi dialogu czy wreszcie do bycia nimi obarczanymi, daje jedyną w rodzaju szansę na ich rozwiązanie. Istnienie konfliktu pozwala na odniesienie się do niego, a w konsekwencji na jego załagodzenie. I właśnie to jeszcze jedna z supermocy animatorów „oddolnych". Ich działalność to złoto, nawet jeśli niektórym, także rządzącym, może wydać się kontrowersyjna. Zwłaszcza że nie chodzi tutaj o godzenie wszystkich ze sobą.

— To godzenie, to jest akurat najgorsza robota — mówi Juliusz Wrzosek.

A raczej, choć być może nie oddaje to dobrze istoty tego typu działalności, niekiedy przypomina to politykę wsadzania kija w mrowisko.

— Jestem niewygodna — często powtarza Pani Barbara — ale nie przeszkadza mi to. Bo tylko tak można obudzić niektóre osoby w gminie do działania.

Marcin Piotrowski wspomina, że kontrowersje wokół działania Folkowiska zaczęły się od razu po wprowadzeniu się do Gorajca, kiedy w pozyskanym zestawie „kaowca" znaleziono film pt. *Zerwany most*, opowiadający polską wersję wydarzeń powojennego konfliktu z ukraińskimi partyzantami. Decyzja była oczywista: należy pokazać ten film, ale razem z innym, produkcji ukraińskiej, pt. *Żelazna sotnia*, który w ogłuszającej kanonadzie pepesz, trwającej niemal półtorej godziny, usiłuje opowiedzieć te same wydarzenia, ale z perspektywy ukraińskiej.

Dziś z pewnością jesteśmy od tych wydarzeń bardzo daleko, zarówno mentalnie, jak i geopolitycznie. A jednak, fotografując się w czapce rogatywce koloru czerwono-czarnego, wspomniany Piotrowski natychmiast posądzany jest o sprzyjanie UPA. Czy rzeczywiście miał takie intencje? Oczywiście, że nie. Czy ludzie w to wierzą? Odpowiedź brzmi, że zależy którzy.

— Nie, tutaj we wsi Gorajec nie ma nikt żadnych problemów — mówi sołtys — ale już w gminach ościennych prędzej. Na radzie powiatu, prędzej.

Sołtys dotyka tu problemu tzw. opinii obecnej wśród sąsiadów na temat działań animatorów „oddolnych". Wygląda więc na to, że sąsiedztwo można podzielić na dwa rodzaje: bliskie i dalekie. I nie chodzi tutaj tylko o jego wymiar topograficzny. Raczej o punkt styku czy przecięcia się z działaniami animacyjnymi. Sąsiedzi bliscy to ci, którzy z efektami działań animatorów „oddolnych" spotykają się bezpośrednio. I jeśli wierzyć relacjom osób zaangażowanych we wspomniane trzy przypadki, wśród nich rzadko zdarza się brak zrozumienia czy jednoznacznie negatywny stosunek.

Gorzej jest, kiedy sąsiedztwo bliskie zaczyna być zmieniane na nieco dalsze, a informacje są czerpane z internetu. Tutaj pole do spekulacji, do niechęci i negatywnego stosunku jest duże. Podczas gdy wszy-

scy, czy to „skazani" na siebie poprzez bliskie sąsiedztwo, czy też mający okazję się bliżej poznać, niezmiennie sprawiają wrażenie skłaniania się w wyniku pracy animatorów do stanowiska akceptującego.

Żeby to było możliwe musi być jednak spełniony jeden warunek. Warunek, który muszą spełnić działający w terenie animatorzy „oddolni", i warunek który rozmówcy biorący udział w tym badaniu spełniali. Jaki to warunek? Bycie sobą.

Bycie sobą

Dnia 11 lipca 1943 roku, członkowie UPA wymordowali kilka tysięcy polskich cywilów w ramach swojej, skupionej na mieszkańcach Wołynia, akcji eksterminacyjnej.

Dnia 11 lipca 2008 roku Marina Sestasvili i Marcin Piotrowski pobrali się we wsi Gorajec, a ich, jak głosi opowieść, huczne wesele stało się zalążkiem jednego z największych, corocznych festiwali folkowych w Polsce — zaczęło się „Folkowisko".

W 2016 r. Sejm RP ustanowił 11 lipca Narodowym Dniem Pamięci Ofiar Ludobójstwa, dokonanego przez ukraińskich nacjonalistów na obywatelach II Rzeczypospolitej Polskiej.

Jak organizować festiwal oparty na dialogu kultur, w oficjalnie wprowadzony dzień pamięci o braku tego dialogu? Tańczycie na kościach pomordowanych! Czy to nie brzmi wystarczająco dramatycznie, żeby wywiązał się konflikt? W tym przypadku światopoglądowy.

— „Marcin", mówili mi wielokrotnie ludzie w powiecie — opowiada podczas naszej rozmowy Marcin Piotrowski — „zmieńcie datę festiwalu". A ja im na to, czy to moja wina, że akurat w rocznicę mojego ślubu polski sejm zdecydował się na wprowadzenie tego upamiętnienia? Festiwal to wspomnienie naszego ślubu. Może mam datę swojego ślubu zmienić? Albo żonę? — dodaje już całkowicie żartem, zainteresowana słuchała siedząc obok.

Sprawa jest jednak bardziej symptomatyczna i poważniejsza niż się wydaje. Głównie dlatego, że jest świetnym przykładem na strategię przyjętą przez moich rozmówców. Czy jest ona charakterystyczna też dla innych animatorów oddolnych? Trudno powiedzieć bez badań statystycznych, ale wydaje się, że można założyć, że przynajmniej dla części, tak. Można by ją streścić, właściwie chyba najprościej, jako postawę nakierowaną nie na dostosowanie siebie do oczekiwań społecznych, ale odwrotnie, postawę kształtującą te oczekiwania. Przy czym wcale nie chodzi tutaj o prowokowanie. Z powyższego przykładu jasno wynika, że wspomniane święto zostało wprowadzone osiem lat po założycielskim dla Folkowiska „weselu". Oczywiście dla „świętego spokoju" stowarzyszenie mogłoby zmienić datę, ale oznaczałoby to właściwie dwie rzeczy.

Po pierwsze rezygnację z „siebie", a więc ustąpienie pod naciskiem centralnej kultury, nakazującej lub pozwalającej na coś. Podporządkowanie się tym „oczekiwaniom" mogłoby skończyć się posądzeniem o koniunkturalność. W filozofii działania animatorów „oddolnych", gdzie praca często złączona jest z życiem prywatnym, utrata wiarygodności i spójności jest także w pewnym sensie utratą licencji na coś, do czego wspomniani animatorzy mają inklinacje. A więc do edukowania innych na podstawie własnego przykładu.

Po drugie, oznaczałoby to także porzucenie okazji mówienia na temat wciąż kluczowy dla relacji polsko-ukraińskich. I chociaż tego typu skandal nie jest nikomu potrzebny, to jednak w tym przypadku pozwala prezentować swoją własną, inną od tej oficjalnej wizję rzeczywistości. Na czym ta wizja polega? Na skoncentrowaniu na osobistym doświadczaniu kultury pogranicza i odtwarzaniu wspólnotowości na marginesach naszej narodowej tożsamości — to może Folkowisko. Na wiedzy o przeszłości kierującej nas w stronę lepszej przyszłości — to może pani Barbara. Na użyciu klubu sportowego jako narzędzia ulepszenia demokracji społecznej — to może AKS ZŁY.

Być może te krótkie charakterystyki spłaszczają złożoność tych przypadków. Łatwiej jest chyba powiedzieć, na czym te wizje nie pole-

gają. W przypadku Folkowiska, na pewno nie polegają na negowaniu rzezi wołyńskiej. A o to byli podejrzewani.

— Ludzie potrzebują prawdy — mówi wspomniany założyciel Stowarzyszenia Folkowisko. Wydaje się, że rozmówca akurat fałsz umieszcza i definiuje gdzieś w polu koniunkturalności właśnie, koniunkturalności i schlebianiu obiegowym opiniom. Często płynącym „od góry", od strony władz starających się sprawować „rządy dusz", od zobowiązanych do wykazania się frekwencyjnością i unikających trudnych tematów instytucji kulturalnych.

— Dlaczego ja się cieszę, że mamy w Warszawie, w tym przypadku na Pradze-Północ taką inicjatywę jak AKS ZŁY? — pyta Jacek Grunt-Mejer. — Przede wszystkim dlatego, że może służyć jako inspiracja. Ci ludzie są kimś w rodzaju odpowiednika *trendsettrów* w modzie. Wskazują kierunki innym, kierunki, w które można pójść, ale nie zawsze trzeba. Bo nie jest się przy pomocy żadnego „aparatu" zmuszanym do tego. Ale sama możliwość jest cenna. Sama budowa drogi, którą można pójść, jeśli się chce.

Cenna uwaga, chciałoby się powiedzieć. Dlaczego? Ponieważ gdyby przyjrzeć się działaniom kultury oficjalnej, działaniom GOK-ów, działów promocji gmin, województw, wreszcie działaniom państwa, to okazałoby się, że także spełniają warunki bycia sobą. Bytem centralnym, promującym kulturę „wysoką", flirtującym z kulturą „niską" w celach partykularnych, świadomym wagi szczypty folkloru, tradycji, wiary, tożsamości narodowej. Tę listę można ciągnąć w nieskończoność. Wydaje się jednak, że obecność inicjatyw pokroju Folkowiska, AKS ZŁY czy wreszcie nieco osamotnionej Pani Barbary, tworzy rodzaj rzeczywistości, gdzie można krytycznie analizować każdy możliwy fenomen kulturowy oraz element tożsamości. A co najważniejsze, ich obecność jest rodzajem przybornika, w którym leżą narzędzia pozwalające podejmować się naprawy społecznego mechanizmu, jeśli zachodzi taka potrzeba. Odpowiednio wzmocnione struktury animatorów oddolnych są stworzone do roli plastra, nadającego się do aplikacji na każdą ranę. Pomimo że niekiedy nie jest to przyjemne. A niekiedy i bywa bolesne.

małopolski instytut kultury

INSTYTUCJA KULTURY
WOJEWÓDZTWA MAŁOPOLSKIEGO

MAŁOPOLSKA

Wydawca
Małopolski Instytut Kultury w Krakowie
30-233 Kraków, ul. 28 lipca 1943 17c
tel. 12 422 18 84, www.mik.krakow.pl

Dyrektor
Tomasz Włodarski

Koordynacja projektu
Tomasz Adamski, Piotr Knaś

Tekst
Andrzej Dybczak

Redakcja i korekta
Martyna Tondera-Łepkowska

Układ typograficzny, skład i łamanie
Anna Papiernik

Kraków 2025

ISBN wydania online 978-83-67862-22-6

ISBN wydania online 978-83-67862-22-6

wydawnictwo mik